

Bartosz Wiśniewski: USA mają w regionie coraz większe interesy gospodarcze

Trump, jako człowiek spoza waszyngtońskiej elity politycznej, sygnalizował możliwość nowego podejścia do pewnych kierunków polityki zagranicznej USA po II wojnie światowej, czy szerzej, tego jak rozumieć amerykańskie przywództwo – mówi Bartosz Wiśniewski w rozmowie z Piotrem Górskim przeprowadzonej dla w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Nowa Europa według Trumpa.

Piotr Górski: Trudno analizować amerykańską politykę w czasach Donalda Trumpa? Dużo mówi się o jego nieprzewidywalności, analizy w takim przypadku są jak domek z kart.

Bartosz Wiśniewski (Polski Instytut Spraw Międzynarodowych):

Niepewność jest immanentną cechą polityki. W naszej codziennej pracy musimy brać poprawkę na to, że w administracji amerykańskiej ścierają się nieraz potężne grupy interesów. Tak jest w przypadku administracji Trumpa, tak też było za czasów administracji Baracka Obamy. Donald Trump otoczył się, z jednej strony, osobami bardzo doświadczonymi, z drugiej, podobnymi do siebie outsiderami. Sam siebie uważa za postać anti-establishmentową, co może budzić pewne wątpliwości, biorąc pod uwagę jaką pozycję społeczną zajmuje. W rzeczywistości jednak to człowiek spoza elit politycznych Waszyngtonu, bez żadnego doświadczenia pracy na obieralnym stanowisku zarówno na szczeblu federalnym, jak i stanowym. Wchodzi

w konflikt nie tylko z Partią Demokratyczną, ale i Partią Republikańską, której elity były niezwykle sceptyczne wobec jego kandydatury. Ostatecznie poprowadził Republikanów do jednego z większych sukcesów wyborczych, uwzględniając również szczybel stanowy i wybory na gubernatorów. Prezydent USA dominuje na tamtejszej scenie politycznej, zapewnia mu to umocowanie konstytucyjne jego urzędu. Ale napięcie w relacjach z Kongresem, nawet zdominowanym przez własną partię, nie zniknie. To również trzeba uwzględnić w analizie politycznej.

A jak wygląda analiza polityki zagranicznej, w szczególności z perspektywy regionu Europy Środkowej?

Istnieje pewna stała, w pewnym sensie bezpieczna rama analityczna, którą przykładamy do polityki amerykańskiej. Chodzi o badanie relacji między ciągłością a zmianą działań USA na arenie międzynarodowej. W polityce wobec Polski i pozostałych państw wschodniej flanki NATO można mówić o kontynuacji w stosunku do administracji Obamy. Jednakże Trump, jako człowiek spoza waszyngtońskiej elity politycznej, sygnalizował możliwość nowego podejścia do pewnych kierunków polityki zagranicznej USA po II wojnie światowej, czy szerzej, tego jak rozumieć amerykańskie przywództwo. Dobrym przykładem jest tzw. transakcyjne podejście do relacji z sojusznikami – w Europie, w Azji Wschodniej. Jednak i tu zaznacza się wspomniany konflikt, pewien opór instytucji, które przez dekady wypracowały *modus operandi*. To dlatego możemy usłyszeć wypowiedzi np. szefa Departamentu Obrony, które stoją w sprzeczności z niektórymi publicznymi wypowiedziami samego prezydenta.

Czy za prezydentury Donalda Trumpa polityka zagraniczna jest w większym stopniu podporządkowana polityce wewnętrznej niż było to dotychczas?

Polityka zagraniczna nigdy nie jest oderwana od polityki wewnętrznej. Hasło prezydentury Trumpa – *America First* – to sygnał, że potrzeby amerykańskiej gospodarki, amerykańskiego społeczeństwa – oczywiście tak, jak je rozumie urzędujący prezydent USA – będą dominować w stosunku do innych uwarunkowań polityki zagranicznej. Za przykład może posłużyć decyzja o wycofaniu USA z porozumienia paryskiego w sprawie polityki klimatycznej. Trump uważa, że układ ten uderza w amerykańską gospodarkę. Zaakceptował koszt wynikający z pogorszenia stosunków z sojusznikami europejskimi – Francją, Niemcami. Okoliczności takich jak zmiany klimatu zwyczajnie nie uwzględnia. Trzeba przy tym pamiętać, że każdy prezydent Stanów Zjednoczonych bierze przede wszystkim pod uwagę interesy Stanów Zjednoczonych. To, co odróżnia Obamę i Trumpa, to rozumienie roli Ameryki w świecie.

Jak ją widzi Trump? W zeszłym tygodniu ogłosił program *Unleashing American Energy* [Uwolnienie Amerykańskiej Energii]. Podczas konferencji podkreślał chęć zdominowania rynku energetycznego na świecie przez USA.

W kwestii energetycznej łączą się dwa priorytety – wewnętrzny i zewnętrzny. Z jednej strony dobrobyt obywateli, tworzenie miejsc pracy, reindustrializacja.

O pracownikach sektora ropy i gazu Trump wypowiadał się jako o soli ziemi.

Trzeba pamiętać, że przez kilkadziesiąt lat, od kryzysu naftowego z 1973 roku, obowiązywało embargo na eksport ropy i produktów ropopochodnych. Rewolucja łupkowa to zmieniła. Już administracja Obamy podjęła pewne kroki zmierzające do ułatwienia pozyskiwania licencji na eksport gazu skroplonego (LNG). Trump chce z tego uczynić instrument wewnętrznej polityki gospodarczej – tworzenia nowych miejsc pracy, zwiększenie wpływów podatkowych.

Z drugiej strony, polityka energetyczna Ameryki ma również implikacje międzynarodowe. W latach 2019-2020 Stany mają szansę stać się jednym z trzech największych dostawców LNG. Pośrednio rzucają wyzwanie Rosji, która na światowym rynku LNG nadal odgrywa rolę marginalną – podobnie jak w dalszym ciągu USA – ale już w Europie jest dostawcą dominującym, posiadają infrastrukturę i portfel długoterminowych kontraktów. W perspektywie kilku lat ta sytuacja może znacznie się zmieniać.

Doszliśmy do naszego regionu i jednego z celów wizyty Donalda Trumpa w Warszawie – obecności na szczycie Inicjatywy Trójmorza. W 2016 w Dubrowniku została podpisana deklaracja, w której jednym z wymienionych obszarów współpracy państw Inicjatywy jest właśnie energetyka. Czy może więc dojść do połączenia chęci regionu do dywersyfikacji dostaw gazu z amerykańską chęcią dominacji energetycznej na świecie?

Wyłania się tu wspólnota interesów. Z jednej strony Stany Zjednoczone stawiają na eksport LNG, choć władze federalne mogą co najwyżej stworzyć warunki do tego. Z drugiej, perspektywy rynku gazu skroplonego w Europie Środkowej pojawił się w zeszłym roku za sprawą otwarcia terminalu LNG w Świnoujściu.

A także rozbudowy infrastruktury.

Tak, współpraca energetyczna to nie tylko handel surowcami. To, co przyświeca Trójmorzu to zwiększenie spójności i gęstości połączeń infrastrukturalnych na osi północ-południe. Rozbudujemy w tej chwili połączenie gazowe z Czechami, ze Słowacją i Litwą, ale Trójmorze to nie tylko współpraca Polski z sąsiadami. Inicjatywa Trójmorza ma przyczynić się do lepszego skomunikowania obszaru między Adriatykiem, Bałtykiem i Morzem Czarnym, i dawać nowe możliwości handlowe i inwestycyjne. To dzieje się przede wszystkim za sprawą unijnych planów integracji energetycznej regionu i z pomocą europejskich pieniędzy.

Obecnie region importuje 40 mld m³ gazu rocznie, przede wszystkim z Rosji. To spory rynek, na którym jest miejsce dla Stanów Zjednoczonych, tym bardziej, że Europa Środkowa od lat zabiega o dywersyfikację dostaw. Nie jest w interesie żadnego państwa regionu nadmierna zależność od Rosji. I nie chodzi tu o demonizowanie rosyjskiej polityki, ale o praktyki monopolistyczne zidentyfikowane przez Komisję Europejską i nadużywanie przez Gazprom swojej pozycji

rynkowej, np. umieszczanie w kontraktach klauzul zakazujących reeksportu gazu, czy nierynkowych mechanizmów cenowych. Postępowania w tych sprawach się toczą.

Zgodnie z deklaracją dubrownicką Trójmorze ma być uzupełnieniem wspólnych polityk Unii Europejskiej.

Chodzi o synergię między Trójmorzem a działaniami Unii Europejskiej – wspólną polityką energetyczną, transportową, wspólnego rynku cyfrowego. Ale Trójmorze będzie funkcjonować w pewnym kontekście, na który składają się dwa główne czynniki. Po pierwsze, Brexit, który powoduje, że Unię Europejską opuszcza największy orędownik wspólnego rynku i związanych z nim czterech swobód. W tym momencie ciężar ich obrony przenosi się na państwa, które jednoznacznie na tym korzystają, czyli właśnie na region Europy Środkowej. Po drugie, wiele mówi się o odrodzeniu tandemu niemiecko-francuskiego, który znowu miałby nadawać ton polityce europejskiej. Jednak co do tej drugiej diagnozy jestem sceptyczny. Integracja europejska nie powróci do stanu z lat 60. czy 70. Środek polityki europejskiej przesunął się – i na południe, i na wschód.

W deklaracji z 2016 roku silnie podkreślone jest, że Inicjatywa Trójmorza nie jest skierowana przeciwko Unii Europejskiej. Pomimo tego w debacie publicznej pojawiają się głosy, że ma być ona odpowiedzią na politykę unijną czy też niemiecką.

Traktowanie Trójmorza jako próby rozbijania Unii Europejskiej jest nieporozumieniem. Do tego Polsce przypisywane są ambicje dominowania w regionie. Pomija się, że jest to koncepcja chorwacka. Chorwaci promują współpracę państw położonych między Adriatykiem, Bałtykiem i Morzem Czarnym przynajmniej od 2014 roku. Wówczas odbyło się pierwsze spotkanie przy okazji Zgromadzenia Ogólnego ONZ, poświęcone takiej współpracy. A dopiero w 2016 roku w Dubrowniku odbyło się pierwszy szczyt w tym formacie.

W polskiej debacie publicznej pojawiają się głosy, jak już powiedzieliśmy niesłusznie, że Trójmorze jest powrotem do napięcia, jak dawniej to nazywano, starą i nową Europą. W 2003 roku wiązało się to ze stosunkiem do amerykańskiej polityki. 10 państw środkowoeuropejskich w liście wileńskim poparło wówczas interwencję w Iraku, czemu sprzeciwiały się Niemcy i Francja. Mówiło się o kryzysie transatlantyckim. Dziś ponownie stosunki amerykańsko-niemieckie nie są najlepsze. Wiąże się to z polityką klimatyczną czy nadwyżkami handlowymi. W zeszłym tygodniu została odwołana wizyta sekretarza handlu Wilbura Rossa, a do opinii publicznej doszły informacje, że transmitowane jego przemówienie zostało wyłączone przed końcem. Czy obecność Trumpa w Warszawie tuż przed szczytem G20 w Hamburgu, można odczytywać jako chęć dania prztyczka w nos Angeli Merkel?

Nawet jeżeli tak jest, to udział w szczycie Trójmorza raczej w tym nie pomoże. To inicjatywa państw Unii Europejskiej nakierowana na wzmocnienie jednolitego rynku. Ze strony Niemiec, jako największej unijnej gospodarki, spodziewałbym się raczej przychylności wobec

Trójmorza. Do tego dochodzą kwestie protokolarne. Fakt, że Donald Trump po wizycie w Warszawie będzie z wizytą w Niemczech wynika z tego, że to Niemcy akurat sprawują prezydencję w G20. Wizyta w Hamburgu nie jest wizytą dwustronną, w odróżnieniu od wizyty w Polsce.

Zamiast doszukiwać się chęci podkreślenia napięć amerykańsko-niemieckich, patrzę na wizytę w Warszawie na dwóch płaszczyznach. Po pierwsze, handlowej. Administracja Trumpa uważa, że to głównie Niemcy generują nadwyżkę w handlu z Europą w ramach wspólnej polityki handlowej Unii.

Ostatnio pojawiły się zapowiedzi powrotu do rozmów o wolnym handlu między UE a USA.

One będą bardzo trudne biorąc pod uwagę, że obecna administracja jest bardzo agresywna jeżeli chodzi o obronę amerykańskich interesów gospodarczych, przede wszystkim miejsc pracy.

Jaka jest druga płaszczyzna wizyty w Warszawie?

To wizyta w państwie wschodniej flanki NATO. Spodziewam się że kontekst zaangażowania amerykańskiego w obronę w ramach Sojuszu Północnoatlantyckiego będzie podkreślony podczas przemówienia Donalda Trumpa w Warszawie. Pamiętajmy, że do tej pory skupiał się na krytyce sojuszników, wytykając im, że niewystarczająco angażują się finansowo we wspólną obronę.

Państwa NATO zareagowały na tę krytykę, w tym Niemcy, którzy wprawdzie przeznaczają mniej niż 2% PKB na obronność, ale dużo na pomoc rozwojową. Namawiają więc, by zamiast myśleć o wydatkach wojskowych, skupić się na wydatkach na bezpieczeństwo. Można więc mówić o efekcie Trumpa, o wpływie nacisku tej administracji na sposób myślenia przywódców w Europie Zachodniej o bezpieczeństwie transatlantyckim

Wyrazem efektu Trumpa było słynne już przemówienie Angeli Merkel przy piwie, w którym oświadczyła, że Europa musi o swoje bezpieczeństwo zadbać samodzielnie. W gruncie rzeczy jest to realizacja oczekiwań Trumpa.

Tak, choć dla europejskich elit jest szokiem, że prezydent Stanów Zjednoczonych mówi to w tak otwarty sposób. Ale jeżeli chodzi o meritum to nie ma w tym nic nowego względem administracji Obamy. Robert Gates w 2011 roku odchodząc z Pentagonu powiedział, że w Kongresie jest coraz mniejszy apetyt na bycie gwarantem bezpieczeństwa transatlantyckiego, jeśli Europejczycy nie będą dawać więcej od siebie.

Kto z otoczenia Trumpa ma największy wpływ na politykę w naszym regionie? W czyj głos powinniśmy się szczególnie wsłuchiwać?

Więcej będziemy wiedzieć po wizycie w Warszawie. Powoli swoją pozycję w administracji Trumpa buduje gen. McMaster, doradca prezydenta ds. bezpieczeństwa. To on prowadził konferencję w zeszłym tygodniu, podczas której wykladał priorytety polityki amerykańskiej w Europie Środkowej. Obecność amerykańskich żołnierzy, zarówno w formacie dwustronnym, jak i w ramach Sojuszu, oznacza, że dużo do powiedzenia ma także Pentagon.

Stany Zjednoczone mają w regionie także coraz większe interesy gospodarcze. Dostawy gazu skroplonego są na razie symboliczne, ale docelowo mają być znacznie większe. Tak więc coraz więcej do powiedzenia będzie miał Departament Handlu. Pamiętajmy też o współpracy inwestycyjnej. Firmy amerykańskie zainwestowały dużo pieniędzy i są ważnym pracodawcą. W samej Polsce jest to ponad 200 tys. miejsc pracy.

Na Placu Krasińskich Donald Trump wygłosi przemówienie. Co wiadomo o jego speechwriterze? To osoba będące w cieniu, a mająca pewien wpływ na politykę. Wystarczy wspomnieć Cody'ego Keenana przygotowującego wystąpienia Barackowi Obamie, które robiły wielkie wrażenie na słuchaczach.

Osoba pisząca przemówienia Trumpowi, z jednej strony, ma bardzo niewdzięczne zadanie, ponieważ Trump jest politykiem bardzo nieprzewidywalnym. Jest w stanie zaingerować w treść przemówienia bez konsultowania się ze swoimi współpracownikami. Z drugiej strony, gdybym to ja był autorem przemówienia na Placu Krasińskich, to uważałbym swoją pracę za stosunkowo prostą. Jest dużo pozytywów, na

które można zwrócić uwagę, również symbolika miejsca – wystąpienie przed pomnikiem Powstania Warszawskiego – sprawia, że to wystąpienie można skierować w wiele stron. Będzie to *de facto* drugie przemówienie publiczne Trumpa zagranicą, po tym jak przemawiał w Kwaterze Głównej NATO. Choć jego słowa były transmitowane na żywo na cały świat, to audytorium było szczególne – szefowie państw i rządów państw członkowskich NATO. Teraz ciężar gatunkowy będzie nawet większy.

Można mówić o efekcie Trumpa, o wpływie nacisku tej administracji na sposób myślenia przywódców w Europie Zachodniej o bezpieczeństwie transatlantyckim

Spodziewam się, że prezydent wspomni o wkładzie Stanów Zjednoczonych w bezpieczeństwo wschodniej flanki, ale w taki sposób, by po raz kolejny zmobilizować sojuszników. Przy

okazji warto zwrócić uwagę, że w Warszawie zabierze głos kolejny prezydent USA. Począwszy od Busha seniora, wygłaszają oni w tym mieście ważne przemówienie programowe. Taki charakter miało wystąpienie Geoga Busha przed Zgromadzeniem Narodowym w lipcu 1989 roku, taki charakter miało wystąpienie Billa Clintona, kiedy mówił: „Od tej pory nic o was, bez was”, co oznaczało *de facto* zgodę na przyjęcie Polski do NATO. Taki charakter miało również przemówienie Geoga W. Busha w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego w czerwcu 2001 roku. Choć ataki z 11 września zmieniły niemal wszystko w trajektorii tamtej prezydentury, to czytając to przemówienie dziś widzimy kontynuację i strategiczny namysł nad tym, jak Stany Zjednoczone wyobrażały sobie swoją rolę w regionie, a zarazem rolę

regionu w swojej polityce zagranicznej. Wreszcie w 2014 roku Barack Obama wygłosił ważne przemówienie przed Zamkiem Królewskim w 25 rocznicę przemian roku '89, w obecności liderów państw regionu.

Można więc już mówić o tradycji, w którą Trump się wpisuje. W amerykańskiej administracji zdają sobie sprawę, czym są wizyty prezydenta Stanów Zjednoczonych w Warszawie, że towarzyszy im coś istotnego także w warstwie symbolicznej, jeśli chodzi o obecność Ameryki w regionie.

Ambasador USA w Polsce, Paul W. Jones, zapowiada, że temat bezpieczeństwa i obronności będzie ważnym tematem wizyty w Warszawie. W zeszłym tygodniu w Brukseli w kwaterze głównej NATO odbyło się spotkanie Jamesa Mattisa z Antonim Macierewiczem podczas sesji ministrów obrony państw NATO. Czego możemy się w tych wymiarach współpracy spodziewać w dłuższej perspektywie?

W debacie eksperckiej pojawia się kwestia, na ile realne jest utrwalenie obecności wojskowej USA w naszym regionie. W Stanach toczy się dyskusja dotycząca pieniędzy – co jest bardziej opłacalne, czy rotowanie sił co 9 miesięcy, czy stworzenie ograniczonej, ale stałej obecności. Przed kilkoma dniami upubliczniono raport US Army War College, z którego wynika, że bardziej opłacalne dla Ameryki, z punktu widzenia finansowego i logistycznego, jest utrzymywanie stałych baz, a nie ich rotowanie.

Czy to oznacza, że Stany Zjednoczone byłyby gotowe przenieść część stałych instalacji wojskowych do naszej części Europy? To będzie zależało od tego, jakie reakcji Amerykanie będą się spodziewali po Rosji. Zobaczymy jaki będzie scenariusz i przebieg ćwiczeń Zapad 2017, zobaczymy jak Rosjanie zareagują na zakończenie budowy bazy systemu antyrakietowego w Redzikowie w 2018 roku – bo jakaś reakcja jest pewna. Będzie to kolejna instalacja wojskowa Stanów Zjednoczonych w tej części Europy. Rosjanie uważają, że wciąż obowiązuje polityczne przyrzeczenie o nierozmieszczaniu znaczących sił Sojuszu Północnoatlantyckiego w naszym regionie. W naszym interesie leży przypominanie sojusznikom, nie tylko z USA, że to Rosja doprowadziła do zasadniczej zmiany sytuacji bezpieczeństwa w Europie – najpierw za sprawą agresji w Gruzji w 2008 roku, a w 2014 na Krymie i obecnie we wschodniej Ukrainie.

Relacje Stany Zjednoczone a Rosja to olbrzymi temat. Spójrzmy na niego w kontekście Trójmorza. Wspominaliśmy o tym, że nowa polityka energetyczna Ameryki będzie uderzała w Rosję, która jest również sceptycznie nastawiona do rozmieszczenia wojsk amerykańskich i instalacji wojskowych w regionie. Z drugiej strony, do opinii publicznej docierają informacje o niejasnych relacjach Donalda Trumpa i jego otoczenia ze stroną rosyjską. Jak to odczytywać?

Trump jeszcze w kampanii wyborczej i na początku swojej prezydentury chciał doprowadzić do przełomu w relacjach z Rosją.

Jak każdy prezydent USA.

Tak, od prezydenta Busha seniora, przez Billa Clintona i Busha juniora, po Baracka Obamę wszyscy łudzili się, że jest możliwa zgodna współpraca w pewnych obszarach, z kolei w innych powinna obowiązywać zasada *we would agree to disagree*. W przypadku Trumpa dochodzi, jak sądzę, swoista fascynacja Putinem jako charyzmatycznym liderem. To dlatego możemy odnieść wrażenie pewnej dwoistości polityki USA wobec Rosji: Trump liczy na współpracę, a już sekretarz obrony Mattis w Izbie Reprezentantów stwierdza, że „Rosja jest rywalem USA”. Tyle w wymiarze retorycznym.

W praktyce nie dostrzegam możliwości zawarcia wielkiego porozumienia między Stanami Zjednoczonymi a Rosją. Przesądzający jest obecnie amerykański kontekst wewnętrzny. Sprawa stosunków USA – Rosja polaryzuje scenę polityczną, stała się elementem walki wewnętrznej, co mocno wiąże ręce Trumpowi. Do tego interesy amerykańskie i rosyjskie są bardzo rozbieżne, chodzi przede wszystkim o Syrię, Afganistan, Koreę Północną, czyli obecnie najważniejszych punktach zapalnych. W rezultacie nawet gdyby nie istniały żadne podejrzenia, nie toczyły się żadne śledztwa w związku z kontaktami osób z otoczenia Trumpa z Rosjanami podczas ubiegłorocznej kampanii wyborczej, o takie porozumienie byłoby po prostu niezwykle trudno. Punktowa, ograniczona współpraca jest możliwa. Długofalowo oba państwa więcej dzieli, niż łączy.

Rozmawiał Piotr Górski